№ 18.

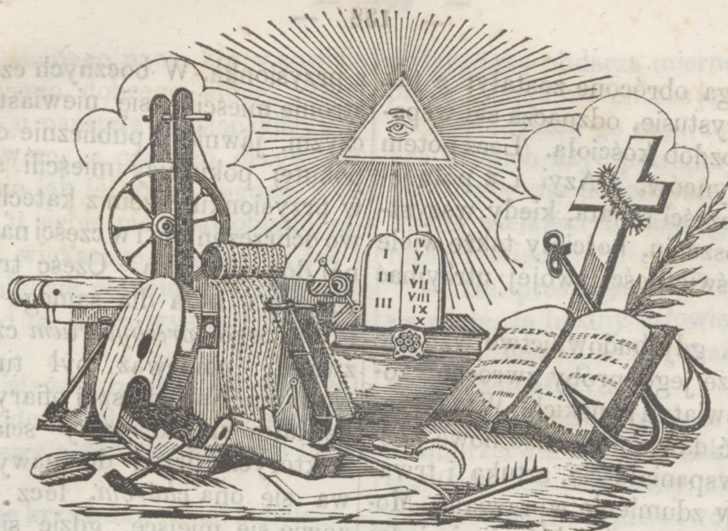
Warszawa.

Dnia 22 Kwietnia
(4 Maja)

1856.

Niedziela

6 PO WIELKIEJ NOCY.



KANTOR GŁÓWNY

W DRUKARNI J. UNGER

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszaws. płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wszechmogący a wieczny Boże! spraw, abyśmy zawsze powolną chęć ku Tobie mieli, a Twemu Majestatowi szczerem sercem służyli. (Modlitwa kościelna na Niedzielę 6 po Wielkiéj nocy).

Historyczny rys Świątyń Chrześcijańskich.

Wieczernik czyli miejsce, w którem Jezus Chrystus, na ostatniéj wieczerzy, ustanowił Najświętszy Sakrament, pierwszym był Kościołem chrześcijańskim. Tam Apostołowie zawsze się zgromadzali z wiernymi na modlitwę, i dla przyjmowania ciała i krwi Chrystusa. Za pomnożeniem się wkrótce wyznawców Chrystusa, gdy Wieczernik wszystkich pomieścić nie był w stanie, wierni dla wspólnego nabożeństwa i odprawiania Najświętszéj Ofiary zbierać się zaczęli po domach prywatnych, po więzieniach, po grobach męczenników i sklepach podziemnych, gdyż w czasach okrutnych i ciągłych prawie prześladowań, nietylko niewolno było mieć osobnych gmachów ku czci Boga poświęconych, ale nawet zabraniano publicznie zgromadzać się dla wspólnéj modlitwy. Jednak w tym tak smutnym czasie, domy i miejsca przeznaczone na oddawanie czci Bogu miano w poszanowaniu i one od pospolitego użytku wyjęte były, jak o tém świadczy Pismo Ś. i stałe kościelne podanie.

W pierwszych czterech wiekach, czyli w przeciągu lat 400 po narodzeniu Chrystusa, chrześcijanie swoich świątyń nie nazywali kościołami, dla odróżnienia się od pogan, którzy świątyniom fałszywych bogów imię kościołów dawali, ale nazywali świątynie swoje: *domami Boga, domami świętemi, miejscem zgromadzenia* i t. p.

Kościoły pierwszych chrześcijan były proste, szczupłe i ubogie, ponieważ sposoby i okoliczności, świątyń okazałych i bogato przybranych mieć nie dozwalały.

Skoro zaś Kościół S. uroczyście uznany został przez władzę świecką, zaraz powstały wspaniałe świątynie ku czci prawego Boga, na których wystawienie chrześcijanie i sam Cesarz Konstanty niczego nie szczędzili, a wielu z późniejszych Cesarzów starało się w tém go naśladować. Okazałe świątynie pogańskie zamieniano w chrześcijańskie kościoły. Znaczne pieniądze, przedtem wydawane na ofiary bóstw pogańskich, na zabawy i widowiska publiczne, teraz dla powiększenia, uświetnienia i utrzyma-

nia czci prawego Boga obrócone zostały; a tak wiek czwarty po Chrystusie, odznacza się wspaniałością budowy i ozdób kościoła. Lecz potem z napływem barbarzyńców, z Azyi i z północnych stron naszéj części świata, kiedy wszystko podległo spustoszeniu, kościoły także wiele ucierpiały, i nadal świetności swojéj utrzymać nie mogły.

Z czasem jednak, gdy budownictwo wznosić się zaczęło, pierwsze jego próby zwrócone zostały ku stawianiu świątyń pańskich. Wtedy zaczęto odbudowywać dawne i stawiać nowe kościoły, które swoją wspaniałością, sztuką i trwałością dziś jeszcze w zdumienie wprawiają. Monarchowie i panowie bogaci, ubiegali się jedni przed drugimi o chwałę wznoszenia kościołów.

W pierwszych wiekach, kształt zewnętrzny kościoła był rozmaity. Najpowszechniéj jednak były kościoły podłużne, jako dogodniejsze do odbywania obrzędów i pomieszczenia w dobrym porządku ludu. Stawiono je tak, że ołtarzem były obrócone ku wschodowi, dlatego, że pierwsi chrześcijanie modląc się, zwyczajnie twarz obracali na wschód, aby okazać wiarę w przyszłe zmartwychwstanie. Naokoło kościoła był plac otoczony murem lub parkanem. Na tym placu przy bramie były wodotryski lub naczynia z wodą, gdzie wierni przychodząc do kościoła, umywali nogi i ręce, na znak, że trzeba mieć czyste sumienie, stając na miejscu świętem. Przy wejściu do kościoła był *przedsionek* bez pokrycia. Wewnątrz kościół dzielił się na trzy części: *Przysionek*, *Nawa* i *Presbyterium*. Przysionek podobny był do dzisiejszéj kruchty, czyli babińca, tylko daleko większy i wyrównywał prawie obszerności całego kościoła. Od przysionka do presbyterium była nawa, czyli środek kościoła, dlatego tak nazwana ta część kościoła; 1. że miała kształt okrętu, który po łacinie nazywa się *navis*, 2. dla przypomnienia chrześcijanom, że kościół jest okrętem, którego Chrystus zawsze jest niewidomym sternikiem, a widomym, przełożeni kościelni. Kapłani zaś są jako majtkowie, a wszyscy wierni w nim będący, jako podróżni, którzy zostając w okręcie kościoła, pomimo rozhukanych burz i nawalności tego świata, ze wszech stron zgubą im grożących, pod przewodnictwem tak potężnego sternika bezpiecznie do portu wieczności dojdą. Nawa wzdłuż przedzielona była kratą na trzy części, do których wchód był z przysionka. W bocznych częściach, po prawéj stronie mieściły się niewiasty, a po lewéj mężczyzni, jawnie i publicznie odbywający swoję pokutę; pokutnicy mieścili się w przedsionku i w przysionku razem z katechumenami czyli nowo ochrzczonymi i w części nawy najbliżéj położonéj do przysionka. Część trzecia kościoła przeznaczona była dla samego duchowieństwa, i i dla tego *presbyterium* czyli *przybytkiem* ją zwano, ponieważ był tu ołtarz do sprawowania Najświętszéj ofiary. Presbyterium oddzielało się od nawy ścianą, lub kratami, w których drzwi do nawy były. Dziś nazywa się ona *chórem*, lecz właściwie chórem zowie się miejsce, gdzie się mieszczą śpiew i muzyka kościelna. Z presbyterium łączyły się *skarbiec* czyli miejsce na skład rzeczy kościelnych, i *zakrystya* czyli miejsce, gdzie się zbierało duchowieństwo przed rozpoczęciem nabożeństwa. Takie wewnętrzne rozporządzenie kościoła trwało do końca wieku 9go, czyli do roku 900 po narodzeniu Jezusa Chrystusa. Od tego czasu, ponieważ ustały publiczne pokuty, nie trzymano się więcéj starożytnego urządzenia kościołów, ale upowszechnił się kształt i porządek, dzisiaj zachowywany.

Łatwo przyszło, łatwiéj poszło.

(Prawdziwe zdarzenie).

—

I.

Niedosyć jest mieć pieniądze, kochani czytelnicy, ażeby niemi, jak wielu z was mniema, zapewnić sobie byt wygodny, stały i spokojny, trzeba jeszcze umieć użyć ich stosownie, co podobno, równie jest trudnem, jak samo ich nabycie pracą i skrzętnością. Przysłowie, które się często obija o nasze uszy: *Przybądź szczęście, rozum będzie*, niezawsze da się zastosować, a wierzcie mi, że nic tak jak szczęście nie zaślepia ludzi. Na dowód tego przytoczymy wam zdarzenie, które w Warszawie niezbyt dawno miało miejsce, a o prawdziwości którego wielu naocznych świadków mogłoby zaświadczyć.

U pana Wiślańskiego służył za lokaja bardzo uczciwy i wierny człowiek, imieniem Jan. Potrafił on przez przeciąg długiéj i nieposzlakowanej służby swojéj, pozyskać względy, szacunek, a na-

wet przywiązanie swojego pana, który sowicie wynagradzał wiernego, dobrego sługę. Żona Jana trudniła się u państwa Wiślańskich kuchnią i gospodarstwem, a pan ten przywykły do jéj usług, równie jak jéj męża, nigdzie z takim apetytem, jak u siebie nie jadał obiadu, nigdzie nie spotkał większego porządku, jak u siebie w domu, nigdzie nie widział lepiéj wypranéj bielizny nad tę, która wyszła zpod ręki Janowéj.

Dlatego pan Wiślański bardzo się zadziwił, gdy dnia jednego podczas śniadania, przyszedł do niego Jan wraz z swoją żoną prosić go o uwolnienie od służby.

— A cóż to wam za krzywda u mnie? zapytał, — wszak płacę regularnie, a znając waszą poczciwość, nie sądzę, abyście zmiarkowawszy me długoletnie do was przywyknienie, pragnęli złych sług zwyczajem, korzystać z mojéj słabości, i strasząc mnie swem odejściem, większą, niż pobieracie dotąd, chcieli wymódz płacę?

— Broń nas Chryste od tak podłéj myśli, rzekł Jan, kłaniając się nisko, i daj Boże wszystkim sługom tak dobremu służyć Panu.

— Dla czegóż więc chcecie mnie opuścić?

— Wygrałam sto tysięcy złotych na loteryi, odpowiedziała Janowa szczęśliwa, że mogła nareszcie wypowiedzieć tajemnicę, którą od wczoraj cierpliwie nosiła.

— A! jakże się cieszę! zawołał pan W..., który szczęście tylko wiernych sług swoich mając w téj chwili na myśli, zapomniał o smutku, jakiego doznał, dowiedziawszy się, że ma się z nimi rozłączyć.

— No i cóż teraz myślicie uczynić?

— O to najmniejszy kłopot, kiedy są pieniądze, odrzekł Jan, kłaniając się z uśmiechem.

— Nie mów tak, mój Janie, rzekł pan Wiślański poważnie, trudno jest zebrać majątek, lecz łatwo go stracić, zwłaszcza gdy się do niego nie długoletnią pracą i rządną oszczędnością, lecz szczęśliwym trafem przyjdzie. Nie jeden, co na poczciwy chleb powszedni umiał zapracować, nie potrafił utrzymać niespodzianie nabytego majątku, dlatego, że go uważał za trwały i niezmienny, lub nie zastanawiając się, jaki z niego stosowny wypada zrobić użytek, dogadzając próżności, którą niedobrzy ludzie na swoję korzyść, jego stratę umieli podniecać. Wtenczas wyrzuty sumienia za zmarnowanie darów szczodréj ręki Boga zatruwają na zawsze ten spokój duszy, jaką obdarza mierność, uczciwą zdobyta pracą. Majątek wtenczas jest tylko zapewnieniem szczęścia, jeżeli go mądrze, oszczędnie i dla dobra drugich użyć potrafimy, lecz zmarnowany, lub użyty na dogodzenie namiętnościom naszym, wielkiém dla naszego zbawienia staje się nieszczęściem.

— He! proszę pana, odrzekła Janowa, Panom się zdaje, że biedny człowiek nie potrafi już być Panem: łatwiéj to bez urazy pańskiéj, rozkazywać, niżeli służyć.

— Źle, moja Janowa, że jesteście tak zarozumiali, przerwał pan Wiślański podnosząc się z krzesła. Człowiek oświecony, nie potrzebuje rad drugich, bo umie się rządzić swojem własnem zdaniem lecz człowiek bez nauki, zarozumiały, jeżeli nie chce słuchać rad rozsądnych i bierze się do tego, czego nie rozumie, stanie się tylko celem pośmiewiska i ofiarą własnéj głupoty. — Nie namawiam ja was, żebyście dłużéj w służbie pozostali, lecz chciałbym dla waszego dobra, abyście taki z majątku waszego zrobili użytek, któryby wam na zawsze zapewnił dobry byt i spokojność, a zarazem dał wam sposobność do takiego zajęcia, jakie dla was jest stosownem. — Oboje jeszcze w sile wieku jesteście, a próżniactwo mogłoby was tylko do złego doprowadzić i świat wam nudnym uczynić.

— My też, proszę pana, próżnować nie myślemy, odezwał się Jan poważnie, aleć i człowiekowi teraz lada praca nie przystoi.

— Cóżeście więc obmyśleli?

— Kupimy wieś, to jakoś najpiękniéj.

— Alboż wy się na tém znacie? zawołał pan Wiślański? To właśnie coście obmyśleć mogli najgorszego; zedrą was, oszukają i puszczą z kijem i pustym workiem.

— Ho! ho! ho! nie taka ja głupia, jak pan sądzi, przerwała Janowa, potrafię ja dopilnować mojéj gospodyni, mój znajdzie takich, co mu w gospodarstwie dopomogą, wreszcie byle się kraść nie dać, każdy chłop orać i siać umie, a przytem będziemy mieli ekonoma.

Moi kochani przyjaciele, rzekł pan Wiślańki z dobrocią, patrząc się na Jana i jego żonę: widzę, iż nie macie pojęcia o tém, do czego brać się chcecie, ale przekonać się nie pozwolicie. Winienem jednak dać wam radę, która według mnie zbawienną dla wasby się stała. — Oto poproście pana Zawadzkiego, zacnego budowniczego, aby wam obrał dom jaki porządny, któryby ście ko-

rzystnie za 70 lub 80 tysięcy nabyć mogli. Janowa, która tak dobrze zna się na kuchni i gospodarstwie wiejskiém, niech za resztę kapitału założy porządną restauracyę, a smacznéem jedzeniem wielu przywabi gości, tem bardziéj, że mając dostateczną gotówkę, może wszystko kupować w większéj ilości i we właściwéj porze, taniéj więc kosztować ją będą potrzebne artykuły. Jan zajmie się dozorem służby w restauracyi żony, porządkiem domu i utrzymaniem meldunków, będzie miał dostateczne zatrudnienie, a połączony dochód z restauracyi i domu, nietylko wystarczy na wygodne utrzymanie i milszą po pracy zabawę, lecz nadto może powiększyć kapitał, a wasz syn, którego natychmiast powinniście oddać do szkół, i przyzwyczajać do pracy, nauczy się szanować majątku, nietylko trafem zyskanego, lecz zwiększonego skrzętną rządnością rodziców.

—Szanujemy rady pańskie, odpowiedziała Janowa, ale panowie zawsze na nas jak na sługi patrzą, i zawsze chcą nas sługami zostawić, boć gdybyśmy tak jak pan radzi, zrobili, to zawsze jabym była kucharką, a Jan lokajem w własnéj restauracyi.

—Przykro mi, że tak własnego nie pojmujecie dobra, odrzekł P. Wiślański z goryczą, nie będę dłużéj wam już radził, bobyście wkońcu własny mój interes widzieć w tém gotowi; róbcież tedy, jak chcecie, smutno mi bardzo z wami się rozstawać, lecz jeśli tylko dobrze wam pójdzie, to z duszy szczęściem waszém cieszyć się będę. Przyjmcie odemnie błogosławieństwo w nowym zawodzie. i w każdéj potrzebie przychodźcie do mnie, jak do ojca.

Łzy stanęły w oczach Jana, rozpłakała się Janowa, żegnając się z tak dobrym panem, a nazajutrz po téj rozmowie, nastręczywszy nowych w miejsce swoje służących, opuścili z boleścią dom państwa Wiślańskich, w którym przez długie lata doznawali przywiązania i dobrodziejstw.

II.

Na dwa tygodnie przed Stym Janem, a niezadługo po opisanym przez nas wypadku, niezwykły ruch żydków w Krakowskim panował hotelu. Drzwi ósmego numeru nie zamykały się prawie. Pod numerem tym stał od dni kilku, znajomy nam dobrze Jan z żoną i synem. Od tygodnia bowiem, tojest od chwili, kiedy za pomocą faktorów, kupił prześliczną wieś, jak oni utrzymywali, sprowadził się do hotelu, bo nadworny faktor Lejbuś przekonywał, że takiemu Panu Obuwatelu, co ma swoich wsiów, nie wypada mieszkać na starego miasta“ i ten sam faktor na czele wielu innych zajmował się przygotowaniami do wyprowadzenia na wieś Jaśniego Pana Jana.

W téj chwili stał on przed dobrodusznym Janem i jego żoną, tak rozprawiając: „Brylantowy, Jasny Pan, zrobił interes, całe obuwatelstwo się dziwowuje, Jasny Pan ma rozum, ale i Lejbuś dobry faktor. Jasny Pan jak darmo, psised do takiego wieś, ten wieś wart 200 tysiąców, a Jasny Pan zgodził za 120, za mojem faktorstwem, a dał tylko 60 tysiąców, a 40 tysiąców na wypłat, i to przez trzy roki, a te 20 tysiąców na Towazistwo kredytowe, ny! to tak, jakby oni nie buli.“

—No dobrze, mój Lejbusiu, ale to czas już pomyśleć o wyjeździe, rzekł Jan, klepiąc po ramieniu Lejbę, przyjmującego z udaną pokorą i niskim ukłonem karesy pana Jana, i trzeba, żebyś mi jeszcze postarał się o porządną bryczkę, i jakie niezłe, a tanie koniki.

„O bryckę, zawołał Lejbuś, z wielkiem niby to zgorszeniem, Jasny Pan kpić chce ze mnie“ a patrząc na Janową wystrojoną w czepek z karmazynowemi wstążkami i przeglądającą się ciągle w lustrze, dodał z chytrym tonem“ a coby to cała okolica powiedziała, żeby Jasna Pani brycką psijechała? już ja wiem dobrze, że dla Jaśniech panów koca potrzeba.

„Ja z matulką koczem pojadę,“ zawołał syn Jana, czternastoletni mazgaj z głupowatą miną, bo dotąd ledwie umiał syllabizować i krzywe laski stawiać.

„A feiner purytz“ przerwał Lejbuś, chwaląc chytrze dziecko„ ślicny panic „a jaki mądry, znać, że to duzy pan będzie,“ a sięgnąwszy do kieszeni, podał Franusiowi garstkę orzechów i jabłko, które chłopiec porwawszy, łakomie zaczął zajadać.

—No juści, mój mężu, koczem trzeba pojechać, poparła Janowa, gryząc orzechy dla syna, żadna Pani przecie bryczkami się nie tłucze.

—Recht, recht, potwierdził, kręcąc głową faktor, starający się na wszystkiem jak najwięcéj zyskać, i oszukać dobrodusznego Jana.

„Zaraz będzie koc i konie w krakowskich chomonty“ i Lejbuś wybiegł z hotelu.

W parę godzin potém w podwórze Krakowskiego hotelu, wjechał kocz żółty, zaprzężony

w cztery siwe konie, popędzane przez żyda, a z kocza wysiadł Lejbuś, i szybko do ósmego udał się numeru.

„Już jest wsistko“ rzekł wchodząc „to warto widzieć takiego ekwipaż, ludzie stawali po drodze, jak ja tu jechał, niech Jasne państwo obacy.“— I zaraz cała familia wyszła na podwórze za faktorem, który zdaleka krzyczał na żydowskiego woźnicę. „Fuer Mojsie, Fuer, a zręczny handlarz koni, siedząc na koźle, zaczął natychmiast wywijać naokoło podwórza, starym klekoczącym, lecz nowo polakierowanym i nicowaném suknem wybitym pojazdem, który stare z pozrywanemi nogami i ochwacone, lecz dobrze przez handlarza wytresowane konie, mało nie porozbijały po nierównym bruku. Jan nie znał się na wadach końskich, a stary klekot, brał za pojazd świeżo zbudowany, w jednéj z najlepszych fabryk pojazdów w Warszawie. Zanim przyszło ugodzić się o cenę koni, pojazdu i uprzęży, inne żydki za znakiem Lejbusia przyprowadzili jeszcze wierzchowca pod siodłem dla Jana, i małego kuca dla Franusia. Bęben dostawszy się na kucyka w żaden sposób zleźć z niego nie chciał. Pani Janowa kontenta, że będzie jeździć pojazdem, bojąc się, aby nie przyszło do zerwania targu, nie dała się wiele targować mężowi, a ten téż i nie wiedząc, jak co taksować, zapłacił 10 tysięcy złp. za to, co i 3ch nie było może warto.

Nazajutrz po kupnie ekwipażu, Jan opłaciwszy hotel, faktorów i nakupowawszy mnóstwo drogich, a niepotrzebnych rzeczy, wyjechał na wieś z żoną i synem, którego bał się zostawić w szkołach na stancyi, aby się nie zrobiło co złego przyszłéj nadziei rodziny, wywożąc z sobą z resztujących 40 tysięcy od kupna wsi, ledwie 24 tysiące.

Wieś Jana położona była w najnieurodzajniejszéj ziemi Kr.Polskiego. Przyjechawszy tam Jan, nieznający się na rolnictwie, nie wiedział jak się wziąć do czego. Zebrawszy bardzo mało po dawnym właścicielu z pola, i nie mogąc nic sprzedać zboża, które zaledwie na przyszłoroczny siew mogło wystarczyć, musiał żyć z gotówki, wydawszy jeszcze parę tysięcy na żniwo. Przyszło opłacić Towarzystwo Kredytowe, podatki i ratę z niedopłaconych dawnemu właścicielowi czterdziestu tysięcy, a to wszystko z tych pozostałych dwudziestu czterech, które nieporządkiem i bezładem pod koniec roku zupełnie się rozeszły.

Na drugi rok konie cugowe i fornalskie pokupowane przez Lejbusia, pozdychały, trzeba było kupić nowe dla obrobienia pola, a że nie było gotówki, Jan pożyczył od żydów, tém bardziéj, że nie miał czém ani podatków, ani raty opłacić, a nawet żyć zczego. Żydzi zdzierali z niego ogromne procenta, a gdy na trzeci rok nie miał ich czém zaspokoić, wystawili wraz z dawnym właścicielem, który nie odebrał swojéj należności, wieś Jana na sprzedaż. Za wieś opuszczoną w nieurodzajnéj ziemi dano zaledwie 80 tysięcy; po odtrąceniu długu Towarzystwa Kredytowego, zostało się jeszcze kilkadziesiąt tysięcy; dawny właściciel zabrał z nich należne mu jeszcze 24 tysiące, a żydzi, którzy Janowi pożyczali pieniędzy, nietylko resztę kapitału, ale nawet i kocz, i kuca Franusia, owego panicza, który stracił lat parę, nic się nie nauczywszy.

A tak Jan gorzkiemi zalewając się łzami wrócił na najętéj furce do Warszawy, wraz z żoną, któraby teraz chętnie była założyła restauracyę, z synem głupszym i więcéj zepsutym niż dawniéj.

III.

Jedenasta godzina zrana biła na zegarze w mieszkaniu p. Wiślańskiego, gdy głos dzwonka rozległ się po pokoju. Służący poszedł drzwi otworzyć i wpuścił Jana, który wraz z żoną przyszedł prosić o służbę dawnego swego pana. Zmartwił się pan Wiślański, usłyszawszy o smutnym losie starych dobrych sług swoich, a wysłuchawszy cierpliwie ich skargi, rzekł: Nie będę wam czynił wymówek, żeście za radą moją nie poszli, i tak dość srogą ponieśliście karę. Dziś pewny jestem, żebyście mnie usłuchali i nie uważali za ubliżenie być właścicielami restauracyi, lecz niestety! teraz już zapóźno. Wyście nabrali doświadczenia, ale fortuna nie wróci. Dziś nie odpowiedziałbyś mi już Janie, gdybym się zapytał, co myślisz z sobą porabiać? „O to najmniejszy kłopot, kiedy są pieniądze.“ Miałeś je, a przecie nic oprócz kłopotów nie użyłeś, nic nie zyskałeś, oprócz siwych włosów na głowie ze zmartwienia, a właśnie dlatego, żeś chciał użyć pieniędzy za środek do nasycenia swojéj nierozsądnéj dumy. I Janowa dziśby nie powiedziała, że panowie myślą, iż słudzy nie potrafią być panami, kiedy łatwiéj jest rozkazywać, aniżeli

służyć. Żal mi najbardziéj waszego syna, który rozpieściwszy się tylko i przywykłszy do wygód, może wyjść na nic dobrego, i złorzeczyć kiedyś rodzicom.

Lecz dosyć już tych peror, nie chcę wam serca zakrwawiać, wolę, abyście służąc u mnie, zawsze wam życzliwego, zapomnieli o smutku, który bogdajby tak zniknął prędko, jak zniknęło niestety! szczęście, które wam zaświeciło.

Grosz wdowi.

(Legenda)

—

Gdy święty Wojciech opuścił Kraków,
Szedł daléj z krzyżem uczyć pogany;
A gdy po drodze kruszył bałwany,
Stanął nad morzem pośród Prusaków.

Tam, szczepiąc wiarę, mocą słów pańskich
Wywracał w koło drewniane bogi;
Tam, wśród obłędu, poganin srogi
Smierć mu zadaje w mękach tyrańskich.

Bolesław Chrobry zasłyszał o tem,
(Byłto Król wielki, słynny z oręża);
On wielbiąc żywot świętego męża,
Zamierzył ciało wykupić złotem.

Co chciał poganin, dawał z ochotą;
Już znoszą złota na wagi bryły;
Lecz święte szczątki bezcenne były,
Bo cnoty nigdy nie zważy złoto!

Już i nie stało skarbów królowi;
Czyż niecną chciwość nasycić można?
Wonczas przybywa wdowa pobożna,
Dorzuca z chęcią w darze *grosz wdowi.*

I Bóg ocenił szczerość ofiary;
Bo grosz śród pracy oblany łzami,
Unosi w górę szalę z zwłokami,
A na dół ciążą królewskie dary.

Zaprawdę, kto z nas ostatnie mienie
Święci dla drugich, choć sam w niedoli,
Temu Bóg wiele zdziałać dozwoli..,
Temu, tu szczęście, a tam... zbawienie!

Lat już dziewięćset, ciało Patrona
Kraju naszego w Gnieznie spoczywa;
Tyleż lat pamięć brzmi o Nim żywa;
Cześć Mu na ziemi, w Niebie korona.

Swięty Wojciechu! módl się za nami,
Proś Boga, by dni nasze żywota,
Jak owéj wdowy, zdobiła cnota;
Byśmy dla siebie nie żyli sami.

O służbie i służących.

—

Wielu pomiędzy biedniejszymi nawet uważa służbę po domach prywatnych za rzecz najgorszą w świecie. Słyszymy nieraz ubogich rzemieślników, zarzekających się: „A niech Pan Bóg uchowa moje dzieci, żeby być miały sługusami!“—I ta właśnie niechęć do służby, to niesłuszne uprzedzenie do niéj, jest powodem braku w niéj porządnych ludzi.— Nie przeczymy, że dla mężczyzn służba lokajska jest może mniéj pożądaną, bo stosowniéj kiedy dziarski chłopak w jakiemkolwiek rzemiośle stanie do młota, topora lub hebla, niż gdy ubrany jak lalka, drzemie całemi godzinami w przedpokoju, albo zmywa talerze i szklanki. Jednak, gdy któremu z nich okoliczności nie pozwalają, innemu oddać się zatrudnieniu, niech do służby lokajskiéj nie uprzedza się, i niech mu jéj drudzy nie ganią; ale niech do niéj idzie w Imie Boże, z tą myślą, że wszędzie i zawsze można być poczciwym i użytecznym człowiekiem. Gdziekolwiek będzie, niech pamięta strzedz dobra państwa, do których się zobowiązał, niech pełni swą powinność gorliwie; a dla własnego dobra, niech nie zmienia służby dla małych i błahych powodów. Będąc zaś pilnym, trzeźwym i ochoczym do pracy, powinien starać się ze swych zasług oszczędzać co miesiąc cokolwiek i do kassy oszczędności odłożyć. Powoli, powoli, uzbiera mu się większa sumka, aniżeli się spodzieje, i jeżeli zechce na starość, będzie mógł pójść na swój chleb, albo założyć jaki sklepik, albo kupić kilka koników, któremi wszędzie i zawsze, a szcze-

gólniéj po miastach, łatwy zarobek, lub wreszcie cokolwiekbądź sobie wynajdzie, bo z pieniędzmi wszystko łatwo,— a jeżeli trzymał się długie lata jednych państwa, to i ci przecież przyjdą mu wtedy w pomoc, według swéj możności, radą, lub jaką zapomogą.

Tyle tylko o służbie lokajskiéj, ale więcéj pomówić tu zamierzamy o służbie dziewcząt, —bo dla wielu z nich częstokroć, nic lepszego, nad uczciwą w porządnym domu służbę, przedstawić się nie może.

Przypuśćmy, że biedny rzemieślnik, woźny, strażnik, lub tym podobny ma kilka już dorastających córek. Może da Bóg, że jednéj trafi się wcześnie i dobrze pójść za mąż;— druga przyda mu się jeszcze długo w domu, do pomocy matce w gospodarstwie, ale jeżeli jest i trzecia, a czasem i czwarta, to nie może mu przecież darmo siedzieć w domu, bo ciężka praca rodzicielska, nie wystarcza wszystkim potrzebom licznéj rodziny, a więc rodzice bez namysłu kierują ją na szwaczkę lub hafitarkę. Prawda, jest to zajęcie dobre dla dziewcząt, ale z wielu względów gorsze, jak stała służba. Póki żyją rodzice młodéj szwaczki, wszystko iść może dla niéj, jak najlepiéj, ale broń Boże ich śmierci, jakaż jest jéj przyszłość?—Nie pójdzie w obowiązek inny, chyba, że jéj się zdarzy, jak to mówią za *pannę*, a teraz przy tych ciężkich czasach, trudno bardzo o takie miejsca, i z pewnością powiedzieć można, że na sto szwaczek i haftarek, zaledwie trzy, lub cztery będą tak szczęśliwe, że zawsze znajdą stałe umieszczenie. Inne biedaczki muszą opędzać swym dziennym zarobkiem, wszystkie wydatki na życie, na pranie, mieszkanie, opał w zimę, i tam daléj—a wiecie, co to wszystko kosztuje.—Niechże jeszcze Bóg dopuści na nią choroby, wtedy dochód ustaje całkiem, a potrzeby się zwiększają;— i chociaż byłby jaki grosik zaoszczędzony, to wnet wyjdzie, a sieroctwo i biéda gorzko da się uczuć. Daléj, jeżeli za mąż nie pójdzie, zniszczy prędko oczy nad ciągłem ślepianiem, nadwerężу zdrowie bezustannem siedzeniem na miejscu, uczuje się prawie niezdatną do pracy, i zostanie może bez grosza, wtedy, kiedy zwątlone siły i niemłode już lata, wymagałyby więcéj wygody i porządniejszego życia.— O, wy wiecie wszyscy, jak biedne, jak godne pożałowania jest położenie takich kobiet. Nieraz wśród ciężkich mrozów obchodzić się muszą i bez ciepłéj strawy i bez kącika ogrzanego. Robota pończoch i skarpetek, którą po największéj części wtedy się zajmują, jest tak nędznym zarobkiem, że litość bierze nawet, płacić im za nią tyle, ile powszechnie dają;— gdyż fabryki pończoch są już bardzo upowszechnione, i tak tanio dostarczają nam tych wyrobów, że ręczna robota nie może się opłacić.

Przyznajcież matki troskliwe o przyszłość waszych córek, czyż nie lepiéj jest dla nich, aby zmłodu wdrożyły się w służbę ciągłą, aby sobie nie miały za krzywdę pójść za *młodszą*, *piastunkę*, lub *kucharkę*. W każdym domu zatrudnienia są rozmaite; nasze młodsze szyją, cerują, krzątają się około porządku domowego, piorą i prasują;—piastunki bawią i pielęgnują dzieci, szyją dla nich, sprzątają pokoje i wraz z niemi używają świeżego powietrza na przechadzkach;— kucharki, lubo przez pewną część dnia ciężéj może pracują od tamtych, za to mają prawie zawsze, parę takich godzin, że zupełnie swobodne, używają ich zwykle dla siebie.—Ta odmiana zatrudnień, ten ruch przy jednych, siedzenie przy drugich zatrudnieniach nietylko że nie może im szkodzić, ale owszem wzmacnia ich siły i nie nadweręża oczu;— przytém pożywienie zawsze czy *w piątek* czy *w świątek*, porządne, gorące, złożone z pokarmów smacznie i zdrowo przyrządzonych, mieszkanie w miejscach obszernych i czystych, przyspasabia im nie zawodnie rzeźwą i czerstwą starość. Jeżeli która z nich czasem na zdrowiu zapadnie, to nieraz uniknie większéj choroby przez troskliwość pani o jéj wygodę; a gdyby nawet podobało się Bogu dłuższą nawiedzić ją słabością, to (jeżeli tylko jest poczciwą dziewczyną), i wtedy nie znajdzie się opuszczoną, i państwo mieć będą dla niéj litość, i nie porzucą jéj bez opieki.—Służące mając zapewnione życie i pomieszkanie, muszą tylko wydawać z zasług swoich na przyodziewek, a i tu jeszcze (jeżeli się trzymają długo jednego miejsca), to ileż razy państwo przychodzą im w pomoc? Znajdzie się niezawodnie i porządna kolenda, i podarek od państwa za dobrą i poczciwą służbę. Tak mało zatem mając wydatków, każda porządna służąca może i powinna zawsze coś ze swych zasług oszczędzić; a wnet ani się postrzeże, jak sobie niezły grosik uzbiera, i jeżeli jéj się zdarzy pójść za mąż, jakże jéj miło będzie, i jak dobrze, mieć ten zasiłek na początek gospodarki.— Jeżeli

jéj przeznaczeniem całe życie saméj spędzić, to dłużéj służąc, zwłaszcza w jednem miejscu, tem pewniéj zabezpieczy starość swoję.

Włościanie Złotowa.

—

Kawał drogi za Płockiem leży wieś *Złotowo*: we dworze mieszkał choć młody, ale dobry pan dla swoich włościan. Każdego kmiecia witał dobrem słowem, każdą skargę wysłuchał cierpliwie, i swiętą sprawiedliwość wymierzał. Nie pozwolił krzywdzić, a tém bardziéj bić, bo wiedział, że z tym poczciwym ludkiem trafisz prędzéj dobrem słowem do ładu, jak kijem, lub batem. Nie miał który soli, chleba, nie było czem podatku opłacić, to do dworu, jak w dym, a młody dziedzic dał soli i ziarna i pieniędzy na podatek. A tak było lat kilka, kmiecie nazywali go ojcem swoim, a on ich jako dziatki swoje rodzone uważał.

Przyszłać potem wojna, jak ją zwano *francuzka*, wszystka młodzież zaraz poszła do wojska, i dziedzic Złotowa wsiadł na konia z kilką luzakami. Gromada z płaczem go żegnała, a błogosławiła z serca. Po jego wyjeździe, nie było dobrego rządu; ze spichrza ziarno zabrano dla wojska, z obory woły wyrznięto, i całą owczarnię, dwór opustoszał, a potłuczonemi szybami wiatr po pokojach zamiatał, i śnieg i deszcz tam dolatywał. Gromada widząc to opuszczenie, uderzyła w radę, co tu robić, jak pomódz dziedzicowi, co w wojaczce odbił się tak daleko od swego dworu. I rada była rozumna.—„Już nam nie naprawiać dworu, mówili, bo któż tam zamieszka, ale ruszmy się do roli, uprawmy, zasiéjmy, a co sprzedamy, święcie grosz zebrany, jak powróci, oddamy. Będzie miał za co czy dwór opuszczony naprawić, ba i nowy pobudować sobie.“ I jak wyrzekli, tak zrobili: Bóg pobłogosławił poczciwéj pracy, dał wielki urodzaj, i gromada za sprzedane zboże, niemało worków srebra zachowała u sołtysa.

Tak było lat kilka: i gromada coraz więcéj w kufer okuty u sołtysa składała; skończyła się przecie wojna, i młody dziedzic z krzyżem na piersiach, i z niejedną raną wracał smutny do rodzinnego gniazda, pewny, że czeka go tam ciężka bieda. A gromada już wiedziała, że młody pan jedzie: wszyscy wystroili się w sukmany od święta—oczyścili, jak mogli, dwór opuszczony, czekając na powrot pana. Jak tylko wjechał na podwórze, tak zaczęli go witać z okrzykiem i płaczem, a ściskać i całować to w ręce, to w kolana. I dziedzic, chociaż to był żołnierz dobry, co w twardym chlebie wojackim o łzach zapomniał, rozpłakał się jak dziecko, i utulić nie mógł. Aż tu trzask z bicza rozległ się nagle, i na podwórze wjeżdża fura we cztery konie, na niéj kufer okuty, a na kufrze stary sołtys z kluczem w ręku. I zszedłszy z wozu, panu się pokłoniwszy, kazał zdjąć kufer, a otwarłszy go, pokazał, że pełen był worków ze srebrem, ba i złota nie brakło.

—To wszystko wasze, wielmożny panie! rzekł ze łzami starzec— pilnowaliśmy, jak źrenicy w oku. Oraliśmy, sieli, żęli, młócili— i ot Bóg dopomógł, masz wielmożny dziedzicu, za co dwór choćby nowy pobudować.

A za furą, przypędziła gromada trzodę bydła i gromadę owiec, i stadninę koni.— Dziedzic tylko płakał, a całował poczciwych kmieci. Że miał zacne serce, tak po kilku dniach pojechał do miasta, wziął sołtysa i kilku strszych gospodarzy, i tak się opisał, że odtąd gromada przestała pańszczyznę robić, tylko czynsz mały płaci z roli darowanéj; ażeby to wiecznie trwało, i jego nawet potomkowie nie obalili nigdy, zapisał w Książce hypotecznéj dóbr swoich Złotowa.

Przysłowia.

1. Dopóty dzban wodę nosi, aż się ucho urwie.
2. Lepszy funt złota, niż centnar ołowiu.
3. Przyjaciela zawsze trzeba, jak wody i chleba.
4. Kto na drugiego trzewiki czeka, musi długo boso chodzić!
5. Zdrowie i czyste sumienie, waż sobie nad dobre mienie.
6. Kto się na gorącem sparzy, ten na zimne dmucha.
7. Bardziéj boli od języka, niż od miecza.

Sprostowanie. w Nr. 17 Czytelni na str. 130, w szpalcie 2éj po wierszu: Pożar się od kul w warowni szerzy. brak wiersza:

A dzwony na gwałt biją na wieży.

W drukarni J. Unger. — Wolno drukować.—Warszawa d. 18 (30) Kwietnia 1856 r. — Starszy cenzor *F. Sobieszczański*